

Listopadowe refleksje

W listopadzie odwiedziłam jak co roku Ciechocinek, kierując kroki w stronę cmentarza przy ulicy Wołoszewskiej.

Szłam od strony tężni i patrzyłam z dala na zwarłą kolorową kępę żółknących drzew ponad cmentarnym płotem. Na tym niewielkim obszarze oznaczonym w pejzażu uzdrowiska gęstwiną jesiennych kasztanowców spoczywają niemal wszyscy ci, którzy przez długie lata istnienia kurortu związali z nim swe życie. Lekarze i księża, nauczyciele i rolnicy, urzędnicy, robotnicy warzełniani, stolarze. Ciechociński cmentarz z masą starych nagrobnych pomników jest kwintesencją historii uzdrowiska. Idąc, przywoływałam więc w pamięci wielu z tych ludzi, takich jak: **Marysia Kasparow** - znakomity pedagog, **Pani Ankowska** - nauczycielka angielskiego z oksfordzkim akcentem, mistrzowski stolarz **Pan Komosiński**, AK-owiec i aptekarz **Pan Skrzyński**, malarz **Karol Kossak**, **Ryszard Szarłat** z LO, czy **Państwo Kwiatkowscy** z SP nr 1 - nauczyciele i rodzice poety Janusza Żernickiego oraz setki innych ciechocinian, których nazwiska znane są mi od dzieciństwa.

O niezwykłości cmentarza ciechocińskiego powinna zostać napisana praca naukowa - temat ten czeka na pióro i zapal jakiegoś ambitnego badacza dziejów,

może z pobliskiego UMK?

Gdy wracałam z cmentarza, dojmująco przemawiała do mnie osławiona, historyczna ciągłość w zmienności: posezonowy kurort, jakże piękny w swej jesiennej szacie, był niby ten sam co za czasów mej młodości, ale zarazem wyraźnie inny. Przykładowo, gmach Europy nie mieści już uroczego sklepu z zabawkami obok apteki, kiosku przy Grzybie dawno nie prowadzi już Pani Hausmannowa, nie ma też baru na początku Zdrojowej, w którym kupowało się lody. Idąc Żelazną w stronę dworca, nie widać też poety włóczęgi - Edwarda Stachury - w drzwiach dawno nieistniejącej knajpki „Kujawianka”.

Ciechocinek jest większy, imponujący, z uzdrowiskowymi inwestycjami na miarę dwudziestego pierwszego stulecia. I tak ma być, zmiany są oczywistą konsekwencją sztafety pokoleń. Nie byłam jednak zdziwiona, gdy śpiesząc pod koniec tej jesiennej podróży sentymentalnej w stronę autobusu PKS, obejrzałam się intuicyjnie przez ramię, ponieważ wydawało mi się, że widzę siedzącego zawadiacko na „koźle” dorożkarza w czapce maciejówce, dziarsko strzelającego z bicia i jego konia kasztanka z lat pięćdziesiątych, ruszającego gdzieś w niebiański kurs.

Małgorzata Iwanowska-Ludwińska